



Krzysztof
Spadło

Skazaniec

Tom III

 Silver Lemon

Tegoroczne święta wielkanocne przypadły w połowie kwietnia i chociaż ostatnie zimowe roztopy zniknęły z początkiem marca, to jednak kilka razy pogoda udowodniła, że potrafi być nieprzewidywalna. Chyba kapryśna aura odcisnęła na mnie swe piętno, bowiem moją duszą również targały zachwiane nastroje.

Kroczyliśmy zwartą kolumną w stronę wejścia na spacerniak.

Ponad naszymi głowami rozpościerał się błękit wiosennego nieba, a poranne słońce już do połowy wyłoniło się zza krawędzi więziennego muru. Nie sposób było normalnym wzrokiem spojrzeć w tamtym kierunku i człowiek mimo woli musiał zmrużyć powieki. Olśniewający blask wyglądał tak, jakby wpadał na spacerniak przez okrągły, złocisty wyłom. Zupełnie jakby ta magiczna, ognista kula, jakimś cudem wypaliła wyrwę w ceglastym murze, a ja pomyślałem o czymś irracjonalnym. Pomyślałem, że jeśli tam podejść, to jasne światło pochłonie mnie... i uczyni wolnym.

Usiadłem na stopniach placu apelowego i leniwym wzrokiem omiatałem spacerniak. Chociaż na karku czułem delikatne łaskotanie słonecznych promieni, to jednak było chłodno. Zerknąłem w stronę spadzistego dachu. Ta cześć bordowych dachówek, na którą padały ostre promienie, szklila się w kroplach kwietniowej rosy, a połyskujące refleksy mieniły się niczym diamenty. Chyba z przyzwyczajenia spojrzałem w okna, gdzie w przeszłości dało się dostrzec postać Szumskiego. *Już nigdy go tam nie ujrzę* – nagle przez głowę przemknęła mi ta dziwna myśl. Odwróciłem wzrok od budynku.

W mojej głowie działo się coś niepokojącego. Luźne wspomnienia z przeszłości, z tej dawnej i odległej, kiedy jeszcze nie wiedziałem czym jest więzienie i samotność, przeplatały się z terażniejszością. W moim umyśle panował chaos. Czułem się wewnętrznie rozbity. Nie potrafiłem skupić myśli no i do tego jeszcze to cholerne drżenie. Zupełnie jakby każdy zakamarek mojego ciała poruszał się w innym rytmie. *Czy tak się objawia wejście w wiek chrystusowy?* - zapytałem samego siebie i nagle przypomniała mi się ponura historia, która miała miejsce w mojej rodzinie. Byłem wtedy kilkuletnim chłopcem i jak przez mgłę pamiętam pogrzeb wuja Józefa. To był jedyny brat mojego ojca. Miał dokładnie trzydzieści trzy lata gdy popełnił samobójstwo. Pewnego dnia po prostu powiesił się w przydomowej komórce. Po latach dowiedziałem się, że ponoć popadł w sidła obłędu. Był zupełnie normalnym mężczyzną i znienacka zaczęło się z nim dziać coś dziwnego. Twierdził, że nie panuje nad tym, co jest w jego głowie, że słyszy różne głosy, które do niego mówią, że nie potrafi się od nich uwolnić. Jeździł po różnych medykach, faszerował się lekami, przez kilka miesięcy był nawet w szpitalu, aż w końcu targnął się na swe życie.

- Kurwa mać! - warknąłem wściekle pod nosem i wyjąłem z kieszeni mosiężną papierośnicę.

Zapaliłem.

Wciągnąłem dym w płuca i starałem się myśleć o czymś innym.

Zrozumiałem, że brakuje mi kogoś bliskiego.

Kogoś takiego jak Ojczulek.

W ostatnim tygodniu kwietnia przodownik Rudolf Frantz wrócił do pracy, a

plotka o tym, że każdy więzień będzie zarabiał pieniądze, stała się faktem. Naczelnik Zalewski osobiście dokonał wizytacji wszystkich miejsc i warsztatów, gdzie pracowali skazani, żeby obwieścić tę nowinę i z grubsza wyjaśnić wszelkie wątpliwości. To było naprawdę przełomowe wydarzenie i myślę, że największe jakiego doświadczyłem w swoim więziennym życiu.

Poniekąd było tak jak prorokował Skarbowy. Nieco przeliczył się w swoich obliczeniach, ale miał rację w innych sprawach. Polskie prawo gwarantowało skazanym zarobek w wysokości trzech czwartych najniższego wynagrodzenia, które w roku 1933 po drugiej stronie murów orbitowało na pułapie 150 złotych. Z tej kwoty więzień potrącało część pieniędzy tytułem utrzymania oraz na fundusz, który był wypłacany więźniowi w dniu wyjścia na wolność. W sumie wychodziło na to, że raz w miesiącu każdy miał dostać na rękę dokładnie pięćdziesiąt złotych i przyznam się wam szczerze, że w pierwszej chwili, pięć dych w pudle wydawało mi się obrzydliwą kupą szmalu. Jednak nie miałem świadomości jaka była faktyczna wartość tych pieniędzy. Tu obowiązywała inna waluta, wszystko było przeliczane na fajki. Gdy dowiedziałem się, że za tę forszę mógłbym kupić tylko dwadzieścia pięć paczek papierosów, to zrozumiałem, że to są przysłowiowe grosze.

Tego samego dnia, zostałem zaprowadzony przed oblicze naczelnika.

- Tak Żabikowski – Zalewski odezwał się zza biurka – na chwilę obecną, jesteś w tym więzieniu jedynym skazanym z wyrokiem dożywocia. Przepisy dokładnie regulują twój status jeśli idzie o wynagrodzenie, bowiem w twoim wypadku nie obowiązuje nas potrącanie kwoty na fundusz związany z wyjściem. Oznacza to, że będziesz najlepiej zarabiającym więźniem – spojrzał na mnie, uniósł nieco w górę palec wskazujący prawej dłoni i dodał - o ile będziesz pracował – te słowa zabrzmiały jak ostrzeżenie. Czubkiem języka liznął górną wargę i powiedział – wiesz o tym, że masz u mnie kredyt zaufania, prawda? - niby pytał, ale nie czekał, żebym potwierdził jego słowa. - Jesteś dobrym stolarzem i znasz się na tym fachu, rozmawiałem ze starszym referentem Krympe i on twierdzi, że wszystko co wychodzi ze stolarni jest dobrej jakości. Mam nadzieję, że pod twoim dowództwem ten poziom zostanie utrzymany.

- Może pan być tego pewien, panie naczelniku – odparłem, a jego słowa naprawdę mnie podbudowały.

- Dobrze Żabikowski, dobrze – westchnął. Przejechał dłonią po blacie biurka i zmieniając temat, zapytał - co masz zamiar zrobić ze swoim wynagrodzeniem? Chcesz wspomóc rodzinę?

- Nie mam bliskich panie naczelniku – odparłem zgodnie z prawdą.

Zalewski pokiwał głową, jakby się nad czymś zastanawiał.

- W takim razie cała kwota, oczywiście pomniejszona o utrzymanie, będzie do twojej dyspozycji.

Wiem o czym myślicie, ja też się nad tym zastanawiałem - po jaką cholere więźniowi forsa? Co ma z nią zrobić? Czy twórcom tego prawa nie przyszło do głowy, że dzięki temu otworzą zakazane wrota i nastaną złote czasy dla kontrabandy? Przecież teraz, kiedy wewnątrz murów pojawią się pieniądze, towar wszelakiej maści będzie płynął różnymi kanałami. Do tego jeszcze dojdą nadużycia, kombinacje,

próby przekupstwa... Po co budzić do życia wszystko to, co niesie ze sobą jedynie problemy? Nie należę do tej kategorii ludzi, którzy wszędzie dopatrują się ciemnych stron i minusów, widzą wszystko w czarnych kolorach albo zawsze wietrzą spisek i podstęp. Jednak od pierwszej chwili gdy zaczęły krążyć plotki o mamonie, nie potrafiłem dostrzec żadnych plusów, a kiedy fikcja stała się prawdą, poczułem zwątpienie. Pomyślałem, że chyba coś ze mną jest nie tak. Czy to możliwe, żeby jeden człowiek był sceptycznie nastawiony kiedy cała reszta tryskała z zadowolenia? Czy wszystkich zaślepiła jakaś radosna nadzieja, a mnie z niewiadomej przyczyny ominęła szerokim łukiem?

Wszystko się wyjaśniło w poniedziałkowy poranek, pierwszego maja 1933 roku. W jednej chwili świat finansowych złudzeń trafił szlag.

Po śniadaniu strażnicy wyprowadzili nas na zewnątrz i kazali maszerować w stronę spacerniaka. W tłumie co jakiś czas padały pytania:

- Co się dzieje?

- Co jest grane?

Zdziwienie na naszych twarzach mówiło samo za siebie. Ktoś rzucił w stronę klawisza z eskorty:

- O co chodzi panie dozorczo? Czemu pędzicie nas na spacerniak?

- Nie gadać! - odparł. - Zaraz się wszystkiego dowiecie!

Wkroczyliśmy na teren otoczony drucianą siatką.

- Ustawić się w czwórkową kolumnę! - padła głośna komenda.

Przodownik służby więziennej Rudolf Frantz stanął naprzeciw nas. Otworzył kajet, który trzymał w dłoni i wyjął złożoną na cztery kartkę papieru.

- Jak wiecie od dnia dzisiejszego zaczynają obowiązywać nowe przepisy dotyczące zatrudniania więźniów do pracy. Rozporządzeniem Ministra Sprawiedliwości oznajmia się co następuje – zamilkł na moment, spojrzał po naszych twarzach i zaczął czytać. - Przywilej pracy zarobkowej dotyczy tylko tych skazanych, którzy zostaną do niej przydzieleni wedle zapotrzebowania i pozostaje to w gestii władz danej jednostki penitencjarnej. Obsada stanowisk powinna być adekwatna do kwalifikacji, umiejętności i doświadczenia, jakimi może się wykazać osoba odbywająca karę pozbawienia wolności.

W kolumnie więźniów dało się słyszeć pomruki zaskoczenia. Nagle ktoś rzucił głośne pytanie:

- Panie przodowniku, ale o co właściwie chodzi?

Frantz ponownie spojrzał w naszym kierunku. Machnął delikatnie kartką, którą trzymał w dłoni i powiedział:

- Chodzi o to, że nie wszyscy z was będą pracować. Prawo nie mówi o obowiązku pracy, lecz nazywa ją przywilejem. Administracja więzienia decyduje kto i gdzie będzie zatrudniony – ponownie otworzył swój kajet i powiedział – teraz będę czytał przydziały. Ten kto usłyszy swoje nazwisko, ustawia się z lewej strony – machnął ręką w tamtym kierunku. - Pralnia! Januszyn, Tajner, Pawlak... - Frantz czytał, wymieniając kolejne warsztaty i nazwiska.

Byłem w obsadzie stolarni.

Po kilku minutach skończył, spojrzał na kilkudziesięciu więźniów, którzy nadal stali w tym samym miejscu i do nich skierował swoje słowa. - Wy wszyscy zostaliście

przydzieleni do pracy w łodygowni i na folwarku. Zostaniecie podzieleni na dwie grupy i pracujecie co drugi dzień. Czy to jasne? Grupa numer jeden to... - Frantz znowu zaczął czytać nazwiska. Na twarzach więźniów malowały się grymasy niezadowolenia. - Grupa numer dwa, spędza dzisiejszy dzień w swoich celach – przodownik uśmiechnął się szeroko, zupełnie jakby powiedział coś iście zabawnego. - I jeszcze dwie ważne informacje! - na zakończenie rzucił donośnym głosem. - Pierwsza jest taka, że w tym miesiącu po raz ostatni zostanie wszystkim wydany ekwiwalent papierosowy. Druga wiadomość pewnie was ucieszy, bo począwszy od czerwca na terenie więzienia zostanie otwarta kantyna, gdzie będziecie mogli dokonywać zakupów po cenach obowiązujących w handlu detalicznym. W sprzedaży na pewno będą papierosy, słodczyce, owoce...

- Kurwa mać o co tu chodzi, co tu się dzieje do kurwy nędzy?! - ktoś za moimi plecami warknął półgłosem.

- No to się porobiło – skwitował Koniu. - Też was zabrali po śniadaniu na spacerniak? - bardziej twierdził niż pytał. - Chyba nikt w tej pace nie zdawał sobie sprawy co znaczy praca zarobkowa.

- Najgorsze jest to, że nikt nie ma pojęcia co będzie dalej – odparłem. - Zawołaj tu chłopaków. Mam dla was wiadomość.

Chwilę później cztery twarze wpatrywały się w moje oblicze.

- Coś wam powiem – zacząłem – wczoraj wezwał mnie do siebie naczelnik i trochę mówił o tym co tutaj robimy. Jak na razie nie ma zastrzeżeń i uwag, a jednocześnie oczekuje, że poziom stolarskich wyrobów zostanie zachowany. Mnie, tak samo jak wam zależy na tym, żeby pracować, ale ostrzegam was, jeśli któryś będzie się opieprzał albo odstawiał fuszerkę to pożegna się z tą fuchą. Rozumiemy się? - mówiłem z władcą stanowczością. - Nie będę miał żadnych skrupułów jeśli się okaże, że któregoś z was będę musiał wysiudać z warsztatu. I żeby było jasne, stawiam sprawę uczciwie. Wasz los i wasze problemy są mi obojętne, bo wy i tak za jakiś czas stąd wyjdziecie, a ja tutaj zostanę. Weźcie sobie do serca moje słowa i pamiętajcie o tym, że ja tu szefuję – po ich minach wywnioskowałem, że dotarło do nich to co usłyszeli. - No to do roboty – klasnąłem w dłonie i zapytałem Konia – co dziś mamy na tapecie?

Malinowski zerknął na kartkę z rozpiską, która zawsze wisiała na ścianie obok pieco-kuchni.

- Skrzynki warzywne sześćdziesiąt sztuk i dwadzieścia ememek dwunastek.

- Czyli wszystko jasne. Koniu ty razem ze mną bierzesz się za ememki, a wy tłuczecie warzywniaki. Naprzód!

Z pozoru mogło się wydawać, że robimy bardzo proste rzeczy, ale tylko z pozoru. Coś takiego jak skrzynki warzywne musiały spełniać konkretne wymagania, a ich rozmiary zostały ustalone przez firmę, która ten wyrób zamawiała. Więzienna stolarnia była w tym wypadku tak zwanym podwykonawcą. Już któryś rok z kolei w sezonie wiosenno-letnim klepaliśmy setki takich skrzynek. Raz w tygodniu na teren jednostki była wpuszczana duża ciężarówka, która podjeżdżała pod wrota stolarni i wtedy ładowaliśmy na pakę nasze dzieła. Kierowca był miłym kolesiem, bo zawsze miał dla nas jakieś owoce, a klawisze z reguły przymykali na to oko. Natomiast pod

tajemniczym kodem MM12 krył się wyrób dla polskiej armii. To były skrzynie na amunicję do moździerzy. W każdej z nich mieściło się dwanaście pocisków, które spoczywały unieruchomione na odpowiednio wyprofilowanych płozach. Do ich produkcji używaliśmy solidnego drzewa i metalowych zawiasów. Robiliśmy dwadzieścia skrzyń, następnego dnia zjawiali się chłopaki z warsztatu malarskiego i zabierali towar, żeby go pokryć ciemnozieloną farbą, a białym kolorem nanieść wedle wytycznych, odpowiednie oznaczenia. I tak to się właśnie kręciło. Z tego co słyszałem, to wszystkie interesy z ramienia więzienia załatwiał i pilotował ten lalusz z włosami lśniącymi od brylantyny – Henryk Krympe. Najwyraźniej facet miał łeb na karku.

- Wiesz, a ja myślałem, że to wszystko będzie inaczej wyglądać – powiedział Koniu. Posłałem mu pytające spojrzenie, bo nie bardzo wiedziałem co ma na myśli. - No to całe zarabianie – wyjaśnił.

- I tak będzie z tego więcej szkody niż pożytku. Niebawem się o tym przekonasz – skwitowałem.

- Tak? A czemu tak sądzisz?

- Podaj śruby ósemki – rzuciłem w jego kierunku. - Bo pieniądze w takim miejscu nie wróżą nic dobrego – odpowiedziałem na jego pytanie. - Poza tym koniec ekwiwalentu wpędzi sporo ludzi w kłopoty.

Koniu wysunął swoją dłoń, w której trzymał śruby, a kiedy po nie sięgnąłem, złapał mnie za rękę i powiedział cichym głosem:

- Ropuch ja nie mogę stracić tej posady – zaskoczonym wzrokiem spojrzałem mu w oczy – zawrzyjmy układ – na dźwięk tych słów podejrzliwie zmarszczyłem brwi.

- Jaki układ? - spytałem.

- Co miesiąc będę odpalał ci z mojej wypłaty jej piątą część, a ty mi zagwarantujesz, że najbliższe cztery lata spędzę w tym warsztacie. Co ty na to? Pasuje?

- Chcesz, żebym ci dał gwarancję, kiedy mój los jest równie chwiejny jak twój?

- Ile lat jesteś więźniem? - zapytał zniechęcony.

- A co to ma do rzeczy?

- No powiedz, ile już siedzisz? - dociekał.

- Jedenaście – a w myślach dodałem - *cholerny szmat czasu*.

- Jak długo pracujesz w stolarni?

- W tym roku będzie okrągła dziesiątka – odparłem i w mig pojąłem do czego zmierzał.

- No i sam widzisz – ton jego głosu brzmiał tak, jakby właśnie po burzliwej dyskusji udowodnił mi swoją rację. - W twoim wypadku to się nigdy nie zmienia. Jesteś odpowiednim człowiekiem na odpowiednim miejscu, a ja myślę, że przyda ci się tutaj do pomocy ktoś taki jak ja. Lubię tą robotę i sam dobrze wiesz, że się staram, prawda? - stwierdził. - Jak trzeba to nawet ludzi pogonię. Co miesiąc dwadzieścia procent trafia do twojej kabzy, co ty na to? Ubijemy ten interes? - zapytał i spojrzał na mnie wzrokiem pełnym wyczekiwania.

Przez moment przyglądałem się jego pogodnej twarzy.

Pomyślałem, że skoro sam wyskoczył z taką propozycją, to czemu miałbym z niej nie skorzystać?

- Dobrze, niech będzie. Jesteśmy umówieni na twoje dwadzieścia procent – odparłem. - A teraz bierzmy się za te nieszczęsne ememki.

W pewnym sensie to było śmieszne, dzisiejszego ranka dowiadujemy się o przywileju pracy, a ja niespełna godzinę później, świadomie zgadzam się na długoterminowy, łapówkarski precedens.

No cóż, forsą zawsze się przyda – przemknęło mi przez myśl.

Podczas obiadu przy każdym stole toczyły się dyskusje i rozmawiano tylko o dwóch sprawach – o pracy i o tym, że wszyscy jak jeden zostaliśmy wyruchani przez system, a niektórzy zostali wyruchani podwójnie.

Chłopaki klęli na czym świat stoi.

- Przesiedziałem dziś cały dzień w celi – warknął Witek Czekalski, na którego wołaliśmy Witja – kurwa mać, można dostać do głowy!

- Nie narzekaj, przynajmniej odpocząłeś – powiedział jego sąsiad.

- Przestań chrzanić! Co ty możesz o tym wiedzieć?! Pierzesz brudy na pralni, masz zajęcie, możesz z kimś pogadać i czas płynie zupełnie inaczej – w jego głosie czaiła się wściekłość. - A jak siedzisz sam w klitce, to tylko z nerwów chuj cię strzela i palisz szlugi jak głupi. Załatwili nas na cacy! Mam pracować co drugi dzień i wiesz co to znaczy? - zwrócił się z tym pytaniem do swojego rozmówcy. - Na koniec miesiąca nic nie dostanę. Nic! Nawet paczki fajek! Jebana rasa!

- Jak to?

- Ano tak to. Frantz nas uświadomił, że wszyscy pracujący co drugi dzień zarobią tyle, aby pokryć swe utrzymanie i ten cały zasrany fundusz wyjściowy. Wychodzi na to, że w tym więzieniu są równi i równiejsi – skwitował skamlącym głosem. Najwyraźniej czuł się pokrzywdzony.

- Przestań się mazać...

- Masz jakiś problem?! - wpadł mu w zdanie. - Coś ci się nie podoba?! Możesz zaraz przyrobić w papę i zobaczymy wtedy kto będzie się mazał – zaczęła się robić napięta sytuacja, a ja natychmiast pomyślałem, że jeszcze kilka słów i sprawy wymkną się spod kontroli. Kogoś mogą ponieść zszargane nerwy.

- Nie gorączkuj się człowieku.

- Ostrzegam cię, lepiej nie cwaniakuj i zamknij pysk! - twarz Czekalskiego przybrała kolor purpury. - Wolałbym codziennie łązić do folwarku, bez względu na deszcz, śnieg, wiatr, skwar, chuj nie ważne jaka pogoda – mówił podniesionym głosem i gestykulował. - Sram na tą ich jałmużnę, kapujesz? Co to ma być?! Czy ja jestem jakimś czubem z izolacyjnego, żeby mnie cały dzień trzymali w zamknięciu?!

Muszę przyznać, że Witja miał rację. Na tej całej aferze z zarabianiem okazało się, że wszyscy straciliśmy. Rozumiałem również rozgoryczenie tych, którym odebrano coś bezcennego. Coś, czego nie można przeliczyć ani na pieniądze, ani na fajki. Wiem, że moje słowa brzmią bardzo wzniosłe, ale tylko ten kto siedział w więzieniu, potrafi docenić jaką wartość ma czas i poczuć skruchę przed jego potęgą.

- Cóż za ironia losu – nagle za moimi plecami usłyszałem śmiech Skarbowego. - I to właśnie dziś, w taki dzień! - naprawdę był szczerze rozbawiony.

- W jaki dzień? - ktoś rzucił pytanie.

- Dziś mamy pierwszego maja, Święto Pracy – odpowiedział Kamiński – i to właśnie

w tym dniu, który jest tak pieczołowicie celebrowany przez międzynarodową klasę robotniczą, wszyscy skazańcy II Rzeczypospolitej dostają pracę zarobkową. Czyż to nie jest wspaniałe? Taki prezent! - w jego głosie wyraźnie było słycać kpinę. - Można śmiało stwierdzić, że teraz wszyscy zaliczamy się do najgorzej zarabiającej kasty proletariatu.

Zjadłem swoją kartoflanę i przyszło mi do głowy, że chyba co niektórzy zaczną teraz doceniać to, czym jest praca. Może i wynagrodzenie było gówniane, ale w tym wszystkim chodziło właśnie o to, co mówił Witja. Chodziło o czas. Jednocześnie przypomniałem sobie jak w przeszłości Ojczulek opowiadał o odbywaniu kary, która polegała jedynie na bezczynnym siedzeniu w celi. O tym, że taka właśnie pokuta miała doprowadzić do moralnej odnowy człowieka. Jednak nie byłem w stanie sobie wyobrazić, że taki system mógł przynieść cokolwiek dobrego. Kiedy patrzyłem na Witję zaświtała mi pewna myśl w głowie i chodziło oczywiście o zwykłe przekupstwo – *pogadaj z Frantzem, odpal mu działkę i niech cię gdzieś wkręci na stałe* - ale wolałem swojego osądu nie wypowiadać na głos. To nie było coś odkrywczego, to było coś, co niebawem i tak miało brutalnie wkroczyć w mury tego więzienia i opętać zarówno klawiszy jak i więźniów.

A jeśli idzie o mnie, to jakby na to nie spojrzeć, ja już w tym tkwiłem.

Był środek upalnego maja, a my z Koniem nadal robiliśmy ememki. To musiało być grube zamówienie, dziennie tłukliśmy po dwadzieścia skrzyń, a na rozpisce ich symbol widniał aż do końca bieżącego tygodnia. Podczas pracy ogarniały mnie dziwne refleksje, lecz unikałem na ten temat rozmowy z moim współpracownikiem. *Z moją prawą ręką* - jak w myślach nazywałem Malinowskiego. Zastanawiałem się nad tym, czy te skrzynie pojedą kiedyś z amunicją na front? Czy jakiś artylerzysta sięgnie po pocisk, który będzie tu spoczywał, a potem pośle go w kierunku okopów wroga? A może skończą swój żywot, gdzieś na ćwiczebnym poligonie? I zaraz potem przed oczami stawała mi twarz Młodego, który jak sam twierdził, posiadał tajniki rusznikarskiej sztuki. Każde wspomnienie dotyczące jego osoby eksplodowało we mnie poczuciem winy. Nie tylko wtedy, kiedy klepałliśmy ememki. To we mnie zostało na zawsze, za każdym razem kiedy pomyślałem o Wacławie Kurskim, miałem ochotę dać sobie w pysk. Nic się nie zmieniło, do dziś jest tak samo. Nie potrafię sobie wybaczyć mojej głupiej zawziętości i braku zrozumienia. To był dzieciak, który potrzebował pomocy, a ja się od niego odwróciłem. Zostało we mnie tylko poczucie cholernie gorzkiej winy.

- Czym zajmowałeś się w życiu? - zapytałem Konia, chociaż prawdę powiedziawszy wcale mnie to nie interesowało, ale stwierdziłem, że lepiej zająć głowę rozmową żeby wyrzucić z niej dręczące myśli.

- W sumie to niczym szczególnym – odparł – mój ojciec był rzemieślnikiem domokrażcą, ostrzył noże, nożyczki, naprawiał zamki i wstawiał szyby. Robiłem u niego za pomagiera.

- Dało się z tego wyżyć?

- Nie było najgorzej, codziennie wpadał człowiekowi jakiś grosz. Jesień i zima to był ciężki okres, co się wtedy namarzłem to moje. Jak śniegu napadało i trzeba było targać ten parszywy wózek z całym majdanem, to krew troista mnie zalewała, ale za

to wiosna i lato – westchnął z rozmarzeniem – po prostu bajka. W sumie to ci powiem, że nie wiedziałem co z sobą zrobić, bo jakoś tak wyszło, że szkół żadnych nie pokończyłem. Mój dziadek nauczył fechtunku ojca, ten szkolił mnie i wychodziło na to, że ja też będę ciągał za sobą ruchomy warsztat i rodzinną tradycję.

- A z jakiego miasta pochodzisz?

- Z Grudziądza, a ty?

- Z Kalisza.

- Na wolności też byłeś stolarzem czy tutaj się wyuczyłeś? - zaczął mnie wypytywać.

- Od dwunastego roku życia jestem związany z drewnem i stolarką.

- Za co siedzisz?

Spojrzałem na niego. Nawet nie podniósł wzroku, rozmawiał ze mną, ale jednocześnie robił swoje. Właśnie przykręcał drugi zawias do wieka skrzyni.

- Wiesz co mi powiedział kiedyś ten klawisz z bloku B, który ma na oku czarną opaskę?

- Co ci powiedział? - przerwał pracę i przyglądał mi się pytającym wzrokiem.

- Bardzo mądre zdanie, które brzmi – zawiesiłem na moment głos i odezwałem z blagierskim uśmiechem - nie interesuj się, bo możesz dostać kociej mordy.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w moje oblicze jakby starał się zrozumieć sens słów, które właśnie usłyszał.

- No coś ty, daj spokój – uśmiechnął się. - No powiedz za co gwarantujesz?

- A czemu to cię interesuje?

- Przed nami wspólne, cztery długie lata – odniosłem wrażenie, że dość często będę teraz słyszał ile lat przyjdzie mu spędzić w stolarni - więc chyba warto się bliżej poznać.

- Kto wie, może kiedyś ci powiem – mrugnąłem porozumiewawczo okiem. - A ty co przeszkrobałeś, że trafiłeś do Wronek?

- Kto wie, może kiedyś ci powiem – powtórzył zarówno moje słowa jak i gest, który mu posłałem.

- Taki z ciebie mądrała? - zaśmiałem się. - Szybko się uczysz, ale słyszałem co nieco o twoich bokerskich wyczynach.

- Tak? A od kogo? - naprawdę był zaskoczony.

- Nie pamiętam, musiałeś komuś powiedzieć – wzruszyłem ramionami – i wiesz jak jest, wieść się niesie.

- Jestem recydywistą i nie ukrywam tego – miałem wrażenie, że mówił o tym z nutką lekkiej dumy. - Myślę, że dobrze jest od razu wyjaśnić innym co i jak. Szczególnie w pace. Natychmiast zyskujesz szacunek i nikt ci nie podskoczy. Pobiłem faceta, a właściwie dwóch – ciągnął swoją opowieść – pech chciał, że trafiłem na policjantów. Skąd miałem to wiedzieć, skoro mieli na sobie cywilne ciuchy? Dwa rosłe chłopcy, a ja sam – kiedy to mówił jego oczy aż zabłyśły z podniecenia. - I co? I dałem im radę – zachichotał. - Za napaść na mundurowego z marszu dostajesz trzy lata – wcześniejszy ożywiony ton jego głosu jakby nieco przygasł. - Niestety w moim wypadku nie było żadnych okoliczności łagodzących i kiedy sędzia zobaczył moją kartotekę, to bez mrugnięcia okiem wlepił mi piąta. Może gdybym poważnie nie uszkodził jednego z nich dostałbym mniej – westchnął - ale jak pech to pech.

Słuchałem go i pomyślałem, że bardzo dziwny z niego człowiek. W pracy solidny,

rzetelny i dokładny. Niczego nie mogłem mu zarzucić, ale jak tylko zaczął mówić o bójce, miałem wrażenie jakby rozmawiał z kimś innym.

- Naprawdę tak bardzo lubisz się bić? - sam nie wiem skąd przyszło mi do głowy takie pytanie.

- Czy lubię? - zaśmiał się. - Ropuch, ja to kocham, ja się urodziłem z tą miłością. Nie ma nic lepszego niż to uczucie, kiedy stajesz twarzą w twarz z przeciwnikiem, kiedy zaciskasz pięści i podnosisz gardę – położył narzędzia na blacie i zademonstrował mi to o czym mówi. Jednocześnie zgarbił się nieco, pochylił sylwetkę i wprawił swoje ciało w delikatny ruch, przenosząc jego ciężar z nogi na nogę. Kołysał się płynnie. Poruszał barkami niczym bokser na ringu – nic się z tym nie może równać. Jesteś czujny, musisz pozwolić żeby instynkt zapanował nad twoimi reakcjami i najważniejsza jest szybkość. Unik! - przechylił się w lewo jakby faktycznie umknął przed niewidzialnym ciosem. - I wyprowadzasz prosty! Musisz go trafić, jego szczeka to twój cel. Albo hak – machnął drugą ręką w powietrzu – jeśli twoja pięść łąduje na jego podbródku to jest po walce. Facet traci przytomność i pada na łopatki, a wtedy możesz go już tylko dobić.

- Ilu tak dobiłeś? - zapytałem.

- Ech stary, kto by ich zliczył – powiedział z dumą.

- A ciebie ktoś dobił?

- Nie będę ci opowiadał bzdur i mówił, że nie. Kilka razy się zdarzyło. No bo wiesz, czasami trafisz na kozaka. Raz oberwałem porządnie. Koleś mnie złał jak psa – i niemal natychmiast dodał – ale to było dawno temu, nie byłem zaprawiony w boju, brakowało mi doświadczenia. Chociaż nie wiem, czy chciałbym się z nim ponownie zmierzyć – dodał po chwili z lekkim uśmiechem, po czym podszedł do stołu i zabrał się za przykręcanie zawiasów.

- Czyli można powiedzieć, że to miłość przywiodła cię w mury Centralnego Więzienia we Wronkach – skwitowałem z nieukrywanym sarkazmem.

Koniu spojrzał na mnie spode łba i powiedział:

- Można tak powiedzieć.

Wtem rozpostarły się na oścież drzwi stolarni i do pomieszczenia wkroczył starszy referent Krympe w asyście dozorczy. Facet z brylantyną na włosach omiół dookoła wzrokiem, po czym ruszył w stronę regału z deskami. Otworzył swój skoroszyt, coś zanotował, podszedł do mnie i rzekł:

- Trzeba będzie zrobić kilka regałów. Zabierz metrówkę, kajet i coś do pisania. Pójdiesz z nami na obmiar.

Uczyniłem tak jak powiedział.

We trójkę zmierzaliśmy w kierunku więziennego dziedzińca.

- To od kiedy rusza ten interes? - klawisz zapytał elegancika w białej koszuli.

- Od czerwca.

- Kto by pomyślał, że dożyjemy takich czasów – w głosie funkcjonariusza brzmiało przeogromne zdziwienie.

- Będzie tutaj namiastka normalnego życia, a więźniowie przynajmniej zyskają motywację. To dobre rozwiązanie. Za jakiś czas wspomnisz moje słowa i przyznasz mi rację – odparł Krympe.

Chwilę później wkroczyliśmy do budynku administracyjnego.

Biura znajdowały się na pierwszym piętrze, natomiast na parterze była stołówka, z której korzystali wszyscy pracownicy więzienia. Mimowolnie zerknąłem do jej wnętrza, bowiem podwójne drzwi były otwarte na oścież. W porównaniu ze stołówką dla więźniów, ta wyglądała jak prawdziwy Wersal. Białe obrusy na stołach, flakoniki z kwiatami, firanczki w oknach, przy stołach krzesła z wysokimi oparciami... prawie jak w domu. W powietrzu dryfował rozkoszny zapach smażonego mięsiva, a ja w tym samym momencie poczułem jak mój żołądek skręca się z głodu.

- Dobrze pachnie, no nie? - zakpił klawisz i posłał mi grymas, który mówił, że na pewno nie zostanie mi dane skosztować tych specjałów.

Wtem z głębi stołówki dobiegły do naszych uszu damskie, rozbawione głosy.

- Coś wesoło dzisiaj naszym kuchareczkom – rzucił funkcjonariusz i zerknął w tamtym kierunku.

Krympe otworzył pierwsze drzwi z lewej.

- Zapraszam – zamasztyłem ruchem ręki wskazał kierunek.

Weszliśmy do środka.

To było dość spore pomieszczenie, środkiem biegło wysokie na metr przepierzenie i dwa filary sięgające sufitu. Człowiek nie musiał mieć wiele wspólnego z murarką, żeby stwierdzić, iż cegły pokryto niedawno warstwą świeżego tynku. Na podłodze widniały nieregularne, półkoliste, mleczone smugi, zupełnie jakby ktoś naprędce przetał resztki cementowej zaprawy nim zdążyła stwardnieć.

- I jak tu będzie wyglądać? - zapytał dozorca.

- Tu będą kraty – referent wskazał na wnęki – ta część – omiół dłonią miejsce gdzie staliśmy – jest, że tak powiem dla klientów – zaśmiał się - a tamta sklepowa. Te dwie ściany – tym razem zwrócił się do mnie – trzeba tak zagospodarować półkami, żeby maksymalnie wykorzystać przestrzeń. Od podłogi aż po sufit.

- Rozumiem – odparłem. - Jakie głębokie mają być półki i jaką pan przewiduje pomiędzy nimi odległość? - zapytałem.

Elegancik rozsiewający dookoła siebie zapach intensywnej wody toaletowej, przedstawił mi swoją wizję.

Dokonałem obmiaru i na szybko rozrysowałem wstępny projekt.

- Masz tydzień, żeby się z tym uporać. Jeżeli będą jakieś potrzeby materiałowe, zgłaszasz problem dozorczy albo prosisz go, żeby cię do mnie przyprowadził. Czy wszystko jasne?

- Jak słońce – odparłem nieco zuchwale, a w sumie miałem pojęcie w jaki sposób mam się zwracać do tego człowieka. Tak jest panie starszy referencie brzmiałoby chyba bardzo idiotycznie.

Dokładnie tydzień później pod stolarnię podjechała więzienna furgonetka i razem z Koniem załadowaliśmy deski i dwie skrzynki narzędziowe. W sumie to miałem frajdę, kiedy siedząc na pace przejechaliśmy się od warsztatu pod budynek administracyjny. Zrozumiałem co musiał czuć Dziadunio, kiedy całe lata temu pomogłem mu zrealizować jego skromne marzenie. Trudno uwierzyć, że taka błaha rzecz, może sprawić tak wiele radości. To było dziwne, ale podczas jazdy ogarnęło mnie wrażenie, że czasami w życiu człowieka powracają cienie przeżytych historii.

Kiedy wnosiliśmy do pomieszczenia nasze graty, okazało się, że pod nadzorem klawisza trzech więźniów montuje tam właśnie kraty we wnękach. Jednym ze skazanych był Niebieski Rysio.

- Robi się tłoczno – skwitował patrząc na swoich kompanów i kiwnął głową w naszym kierunku.

- Damy radę – odparłem.

Pierwszą partię desek ułożyliśmy pod ścianą.

- Miej baczenie na nasze narzędzia, żeby nam czegoś nie skubnęli – szepnąłem Koniowi do ucha. Ten w odpowiedzi zerknął na mnie znacząco i lekko dygnął głową. Na szerokim okiennym parapecie siedział klawisz, który nadzorował chłopaków od krat. Dozorca Robalski, który nas przywiózł, podszedł do niego i zapytał:

- A ty co taki ledwo żywy?

Zagadnięty spojrzał na niego zmęczonym wzrokiem, sięgnął do kieszeni po chusteczkę i przetarł spocone czoło.

- Dwa dni temu były imieniny Michała – odparł. - Przesadziliśmy trochę z wódeczką. Wczoraj miałem nadzieję, że dojdę do siebie, ale chyba zaszkodziło mi jakieś świństwo.

Robalski uśmiechnął się z udawanym współczuciem.

- Przypilnuj moich chłopaków – wskazał na mnie i na Konia – odstawię furgon, skoczę na blok i powinienem się zjawić za kwadrans. Ile wam jeszcze tu zejdzie? - zapytał.

- Te, Niebieski – skacowany klawisz, zwrócił się do Rysia. - Jak długo jeszcze będziecie się z tym cackać?

- Jeszcze z pół godzinki panie dozorczo i możemy się stąd zabierać – padła odpowiedź.

- No to słyszałeś.

- Będę za piętnaście minut – klawisz klepnął swojego kumpla w ramię, obrócił się na pięcie i wyszedł z pomieszczenia.

Na zewnątrz rozległ się warkot silnika, a chwilę później kabina szoferki mignęła po drugiej stronie okna.

- Nie będziemy się tu zabijać – powiedziałem do Konia – dawaj, przestawmy dechy i narzędzia na zaplecze – wzrokiem wskazałem dużą wnękę na tyłach. - Poczekamy aż oni się zawiną i wtedy zabierzemy się za swoją robotę.

W trakcie naszych czynności Malinowski niechcący szturchnął kantem krawędziaka w goleń jednego z ludzi, który montował kraty.

- Hej ty! - warknął uderzony. - Co wyprawiasz ćwoku!

- Niechcący, przepraszam.

- W dupie mam twoje przepraszam!

- Uspokoicie się! - rzucił w ich kierunku klawisz, którego alkohol sponiewierał dwa dni temu.

- Nic się nie stało panie dozorczo – odparł Koni i położył deski w nowym miejscu.

Kumpel Niebieskiego Rysia oparł kratę o ścianę i ruszył w stronę Malinowskiego.

- A właśnie, że się stało – powiedział.

Kłęczałem obok skrzynek z narzędziami i spojrzałem w tamtą stronę.

Koni obrócił się na pięcie i niby przez przypadek, delikatnie puknął tamtego czołem

prosto w środek twarzy.

- Co tam wyprawiacie! - strażnik siedzący na parapecie ponownie ryknął i przechylił nieco korpus, żeby dostrzec co dzieje się przed wejściem na zaplecze. Filar po prawej zasłaniał mu pole widzenia. - Uspokoicie się czy mam wam pomóc? - zapytał, ale chyba nie miał ochoty podnieść się z miejsca.

- Nic się nie dzieje panie dozorczo – rzucił Niebieski Rysio, jednocześnie chwycił za ramię swojego kumpla i powiedział rozkazującym tonem – bierz się za kratę!

Wytatuowany człowiek zrobił krok w przód, trącił barkiem Konia i syknął wściekle przez zaciśnięte zęby:

- Już masz przejebane!

- Ojejku, ale się boję – mój współpracownik szepnął prowokującym tonem, a ja miałem wrażenie, że w każdej chwili jest gotów do walki.

- Co z tobą?! - odezwałem się półgłosem do Konia. - Chcesz nam narobić kłopotów?!

- Kto? Ja? - odparł tak, jakby nie wiedział o co mi chodzi.

- Jak masz zamiar odstawiać takie numery, to może lepiej żebyś kwitł na stolarni – byłem zły.

- Gościu sam zaczął, cóż mogę za to?

- Przestań rżnąć głupa! - uciałem. - Bij się na spacerunku, w stołówce, w łaźni, bij się gdzie chcesz i kiedy chcesz, byleby nie na stolarni albo podczas takiej roboty jak teraz. Kapujesz? - spojrzałem mu w oczy.

- Ropuch przecież...

- Kapujesz czy nie? - wpadłem mu w zdanie. - Może wolisz etat na łodygowni albo na folwarku?

Zerknął na mnie spode łba i nic nie odpowiedział.

Sterczeliśmy w milczeniu pod ścianą, obserwując jak ekipa od krat zwijała swoje narzędzia. Koniu z dziwnym uśmiechem przyglądał się Niebieskiemu Rysiovi, a ja myślałem o tym, że niekiedy wystarczy jeden głupi incydent aby pozyskać wroga i skomplikować sobie życie. Ten, który przyjął cios od Malinowskiego, mamrotał coś pod nosem i co chwilę zerkał w naszym kierunku. To, że Koniu wpakował się w problemy było pewne jak jutrzejszy dzień.

Klawisz siedzący na parapecie niecierpliwie spoglądał na zegarek.

Wtem na korytarzu rozległy się kroki i do pomieszczenia wkroczył Robalski.

- Jestem jestem – rzucił w stronę zmęczonego życiem dozorczy.

- Wreszcie – tamten w odpowiedzi tylko ciężko westchnął. - Brać ten cały majdan – rozkazał swoim ludziom – wracamy na warsztat.

Trzech typków pochwyciło swoje narzędzia i resztę niewykorzystanych prętów.

Niebieski Rysio zerknął na Konia, a ten w odpowiedzi, dopuścił się największej zniewagi, zrobił najbardziej upokarzający gest. Zrobił coś, co wedle więziennego kodeksu było czymś niewybaczalnym. Skurczył usta w dziób i posłał mu całusa.

Kiedy ekipa od krat opuściła pomieszczenie kantyny, zabraliśmy się do dzieła.

- Po jaką cholere posłałeś mu tego buziaka? - szepnąłem do Konia, pytając o ten dumny gest jaki zaserwował Niebieskiemu Rysiovi. - Przecież wiesz co z tego wyniknie.

- Wcale się go nie boję – odparł, a w jego głosie brzmiała absolutna pewność siebie.
- To nie ma nic do rzeczy – stwierdziłem. - Zachowujesz się tak, jakbyś na siłę szukał guza. Do czego ci to potrzebne? Podaj dwa najdłuższe krawędziaki – kiwnąłem głową w kierunku desek leżących pod ścianą. - Czemu łamiesz zasady? - dodałem po chwili wracając do poprzedniego tematu.
- Ja nie łamię żadnych zasad, a jak facet będzie podskakiwał, to dostanie po trąbie. Nie mogę na to pozwolić – ciągnął – żeby jakiś wytatuowany wypierdek brał mnie na huki. No bardzo cię proszę – powiedział nienaturalnie zawodząc i jednocześnie wręczył mi deski o które prosiłem – trzeba szanować samego siebie.
Nie miałem już najmniejszych wątpliwości, że Koniu należy do tego typu ludzi, którzy sprawy sporne najchętniej rozwiązują za pomocą zaciśniętych pięści.

Robota szła nam sprawnie, ale nie było nawet cienia szansy, żeby uporać się z całością w ciągu jednego dnia.

Kiedy zegar na wieży wybił południe na korytarzu rozległy się kobiece głosy.

- Oho – powiedział Robalski – chyba zjawiły się nasze kuchareczki. - Poderwał się z miejsca i prężnym krokiem ruszył w stronę drzwi.

Otworzył je na oścież i odezwał się niczym filmowy amant:

- Witam szanowne panie!

- Dzień dobry panie Alfredzie, dzień dobry, dzień dobry – zaszczębiotały niewieście głosy. - A co pan tu robi? - zapytała któraś i zaraz potem w drzwiach ujrzeliśmy pulchną brunetkę z włosami spiętymi w koński ogon. - To tu będzie ta kantyna?

- Dokładnie tak – odparł z rozbajającym uśmiechem. Jednocześnie wciągnął brzuch i wypiął pierś do przodu.

- No to będziemy miały blisko na zakupy, prawda dziewczyny?

Za jej plecami pojawiły się kolejne dwie kobiety i ciekawie zerkały do wnętrza pomieszczenia.

- A co dziś szanowne panie ugotują nam na obiad?

- A co pan Alfred sobie życzy? - brunetka z nieukrywaną kokieterią ciągnęła dialog.

- Cokolwiek pani Jadzia ugotuje to i tak zjem ze smakiem – klawisz najwyraźniej silił się na zaloty.

- No to w takim razie będzie pomidorowa i gulasz z kaszą.

Kiedy usłyszałem jakie menu szykuje się dla pracowników służby więziennej, od razu poczułem się głodny.

- A co my dzisiaj będziemy mieć na obiad? - szepnął do mnie Koniu.

- A co sobie życzy szanowny pan więzień? - odparłem.

- No to może kartoflanka i ryż na wodzie - powiedział po udawanym zamyśle.

- O tak, kartoflanka jest bardzo smaczna, dawno jej nie było, bo raptem wczoraj. Tylko, że wczoraj była bez kartofli, a dzisiaj będzie bez ziemniaków. Na drugie serwujemy ryż na wodzie, ale bez ryżu - starałem się mówić jak doświadczony kelner, który zachęca gości restauracji do skosztowania specjałów proponowanych przez szefa kuchni.

- Pyszności. Już się nie mogę doczekać.

- Doczekasz się na bank – stwierdziłem. - No dobra, dość fandzolenia. Podaj deski – powiedziałem i zabraliśmy się za skręcanie regałów.

Godzinę później zobaczyłem przez okno jak pod budynek administracyjny zajechał cywilny samochód. Strażnik również zainteresował się tym faktem i wyrzwał na korytarz. Przez moment rozmawiał z kimś, po czym zwrócił się do nas:

- Chodźcie tu, trzeba coś wnieść do środka.

Tym czymś okazały się produkty spożywcze do pracowniczej stołówki. Było tego kilka skrzynek. Wnieśliśmy towar do kuchni.

- Niezła ta pani Jadzia – skwitował Koniu, kiedy ponownie znaleźliśmy się w pomieszczeniu przyszej kantyny.

- Co, podoba ci się? - zapytał Robalski z szerokim uśmiechem.

- Trochę ma za ciasny fartuszek, ale dzięki temu widać jej potężny biust – mój współpracownik najwyraźniej był pod wrażeniem jej walorów.

- A czy ty wiesz Malinowski jakie dwie rzeczy najbardziej liczą się w życiu każdego mężczyzny? - zapytał klawisz.

- Jakie panie dozorczo?

- Cycki Malinowski. Cycki – parsknął śmiechem.

Kiedy starszy referent Henryk Krympe zjawił się tuż przed godziną 16-tą mieliśmy gotowy regał na najdłuższej ścianie.

- No nieźle. Całkiem nieźle – podsumował nasze dzieło. - Rozumiem, że jutro wszystko będzie gotowe? - do mnie skierował swoje pytanie.

- Będzie – odparłem.

- Musi być, bo jutro przyjeżdża dostawca, a za kilka dni tłum więźniów przyjdzie tutaj wydać swoje ciężko zarobione pieniądze.

- Jeśli zjawimy się z samego rana, to do południa będzie gotowe – stwierdziłem z całkowitą pewnością.

Następnego dnia zabraliśmy swoje skrzynki narzędziowe i w asyście strażnika ruszyliśmy do pomieszczenia kantyny. Promienie porannego słońca tańczyły na naszych twarzach, a ich zakłęte ciepło przyjemnie łaskotało w policzki. Zielone liście drzew, których korony wznosiły się ponad więziennym murem, poruszały się w delikatnych podmuchach majowego wiatru i szeptały jakąś opowieść. W powietrzu unosił się zapach nadchodzącego lata.

Te dwa dni, które pod koniec maja 1933 roku przepracowałem poza stolarnią na swój sposób były bardzo szczególne i głęboko zapadły w mojej pamięci. To, że Koniu wdał się w absurdalny konflikt z Niebieskim Rysiem, nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Po blisko jedenastu latach odsiadki człowiek nabiera dystansu do ludzi, którzy pragną sobie skoczyć do gardeł. I nieważne jakie mają ku temu powody. Rozsądek podpowiada, że najbezpieczniej jest wtedy trzymać ręce w kieszeni, stać z boku i nie opowiadać się za żadną ze stron. Chcą wojenki? Proszę bardzo, niech ją toczą. Te dwa dni były dla mnie ważne, bo ofiarowały mi odmianę, która przyniosła niesamowite ukojenie. Od lat, każdego ranka wychodziłem z głównego budynku, skręcałem w prawo i pokonywałem tę samą trasę. W dni powszednie dreptałem do warsztatu, a w niedzielę na spacer. Nie moja wina, że droga do obu tych miejsc wiodła w tym samym kierunku. Maszerowałem tędy dzień w dzień. Czułem się tak,

jakby od wieków istniały tylko stolarnia i spaceriak, stolarnia i spaceriak... Byłem gotów zaprzedać diabłu duszę, byleby nogi mogły mnie ponieść gdzieś indziej. Tak właśnie wyglądał mój świat. Jakież to okropne uczucie, kiedy człowiek ma świadomość, że wszystko zamyka się w przestrzeni, którą można objąć ramieniem! Codziennie ten sam krótki dystans, te niespełna dwieście metrów, ta sama kostka brukowa, ten sam zakręt za rogiem budynku i zardzewiała rynna zakotwiona u ściany. Od lat jeden, znajomy widok. Żadnych zmian. Trudno to sobie wyobrazić, prawda? Jak z tym żyć wiedząc, że tak będzie już zawsze? Aż do końca. Jak długo można się sycić widokiem nieba i tym, co uda się dostrzec ponad więziennym murem? Jak długo można spoglądać na świat z tego samego okna? I właśnie dlatego te dwa majowe dni były takie szczególne. Zobaczyłem część nieznanego mi świata. Doświadczyłem odmiany, która nie była mi całkiem obca, a znajome uczucia odżyły w głębi duszy. Jednak drugiego dnia wydarzyło się coś jeszcze...

- Co cię ugryzło? - zapytał Koniu, kiedy po kilku próbach nie udało mu się wciągnąć mnie w rozmowę. - Chodzi o to co stało się wczoraj?

Dopiero po chwili odłożyłem młotek, spojrzałem na niego, a potem wychyliłem głowę z zaplecza i zapytałem klawisza:

- Panie dozorczo, możemy sobie zrobić przerwę na papierosa?

- Byle nie za długą – odpowiedział.

Usiadłem na podłodze i oparłem plecy o chłodną ścianę.

- Siadaj – kiwnąłem głową. - Zapalimy.

Sięgnąłem po mosiężną papierośnicę i poczęstowałem go fajką.

- To nie moja sprawa z kim będziesz miał na pieńku, ważne żebyś nie wciągał mnie w swoje problemy ani ich nie stwarzał, kiedy ja jestem w pobliżu. Nie chcę być świadkiem ani uczestnikiem, rozumiesz? - zapytałem po czym głęboko zaciągnąłem się dymem.

- Jasna sprawa – odparł.

- I nic mnie nie ugryzło, po prostu czasami człowiek ma taki dzień, że nie chce mu się gadać – zrobiłem krótką pauzę i po chwili dodałem. - Właśnie dzisiaj mam taki dzień.

- Jasna sprawa – powtórzył jakby znał tylko te dwa cholerne słowa.

- Nie masz pojęcia ile to dla mnie znaczy, że pracujemy tutaj, a nie w stolarni – wciągnąłem dym w płuca. - Wiesz co nas różni, chociaż nosimy takie same mundurki? - trzepnąłem dłonią w połąć więziennej bluzy. - To, że ja nigdy nie zdejmę tego wdzianka. - Koniu ze zrozumieniem pokiwał głową. - Moje życie to rutyna, podła, parszywa, jednostajna rutyna. Cela, stołówka, stolarnia i spaceriak. Raz w tygodniu łaźnia i przemarsz tymi samymi korytarzami. Jedyna rozrywka to książka albo gazeta z biblioteki i na tym koniec. Więc jeśli trafia się coś takiego – omiotłem dookoła wzrokiem – a taka odmiana może się zdarzyć raz na kilka lat, to chcę się tym cieszyć. Kapujesz? - spojrzałem na jego twarz i odniosłem wrażenie, że chyba nie wie do końca o czym mówię. - Swojego czasu był tu pewien więzień, na którego wszyscy wołali Ojczulek – i chociaż wcześniej stwierdziłem, że nie chce mi się gadać, to zacząłem snuć opowieść, jak pewnego dnia montowaliśmy meble w domu naczelnika. Potem jeszcze wspomniałem o Suchym i o tym, jak jego też wkręciłem

na fuchę po drugiej stronie murów. - Oddałbym wszystko, żeby choć na chwilę znaleźć się po tamtej stronie bramy.

- Kiedy tam byłeś to co, nie myślałeś żeby prysnąć? - zapytał.

- Ucieczka? - ton mojego głosu brzmiał tak, jakbym usłyszał najbardziej idiotyczną rzecz w swoim życiu. - Nie masz pojęcia o czym mówisz. Wiesz jak kończą ci, którzy tego próbują?

- Jak?

- Z kulą w sercu. Coś o tym wiem...

Nie zdążyłem dokończyć, bo z drugiego pomieszczenia dobiegł do naszych uszu głos klawisza:

- Koniec odpoczynku! Biercie się za robotę!

- Tak jest panie dozorczo – odpowiedziałem i dźwignęliśmy nasze tyłki z parkietu.

Kiedy zegar na wieży uderzył na Anioł Pański, zjawił się starszy referent Krympe. Miał na sobie śnieżnobiałą koszulę z krótkim rękawem, czarny krawat, czarne spodnie wyprasowane w kancik i błyszczące lakierki. Bardziej przypominał przedsiębiorcę niż cywilnego pracownika zatrudnionego w Centralnym Więzieniu we Wronkach. Pod pachą trzymał swój kajet w skórzanej oprawie. Podeszedł do regałów i zaczął sprawdzać każdy z osobna czy są solidnie zamontowane.

- Dobra robota! - stwierdził po chwili, po czym spojrzał na kilka drewnianych ścinek, które złożyliśmy w rogu pomieszczenia i dodał z uznaniem. - Widzę, że nie marnujecie materiału.

- Skoro wszystko w porządku – odezwał się strażnik – to my się stąd zabieramy.

- Wiesz co – Krympe zerknął na zegarek – za niespełna kwadrans przywiozą towar, zaczekaj jeszcze – kiwnął głową na mnie i na Konia – tych dwóch przyda się do rozładunku.

Bordowa ciężarówka z zieloną plandeką zatrzymała się przed wejściem do budynku gdzie mieściła się kantyna. Kierowca i konwojent, który dzierżył w dłoni plik papierów wysiedli z szoferki. Ten pierwszy opuścił drewnianą burtę.

- Wnieście wszystko na zaplecze – starszy referent rzucił polecenie w naszą stronę.

Paka była pełna drewnianych skrzynek i kartonowych pudeł. Klawisz, który nad nami czuwał wdał się w rozmowę z kierowcą, Krympe i konwojent weszli do kantyny, a ja z Koniem zabraliśmy się za rozładunek. Drewniane skrzynie były dość ciężkie, więc dźwigaliśmy je we dwójkę. Było tego całkiem sporo. Na zapleczu ustawialiśmy wszystko według poleceń więziennego elegancika. Skrzynie tu, kartony tam, jedne nieco z prawej, inne z lewej, brązowe obok zielonych, tam jedne na drugich, tekturowe pudła pod ścianą, a nieco większe kremowe skrzynki z wypalonym znakiem kiści winogron bliżej regałów. W pakamerze robiło się coraz ciasniej, a zdjęliśmy dopiero połowę towaru.

Nie wiem jakie specjały mieściły się wewnątrz drewnianych skrzyń i tekturowych pudeł. Słyszałem tylko jak Krympe czytał na głos listę i sprawdzał czy wszystko zgadza się z wykazem:

- Suchary, bakalie, suszone jabłka, tabaka, czekolada...

Na pace były też trzy wiklinowe kosze, a w nich szklane gąsiory obłożone trocinami.

- Co to jest? - zapytał Koniu kiedy pochwyciliśmy jeden z nich.

- Nie mam pojęcia, zagadnij tego gogusia w białej koszuli – odparłem, ale muszę przyznać, że sam byłem ciekaw.

Koniu był bezpośredni, więc kiedy dźwigając ten ciężar wkroczyliśmy do kantyny zapytał:

- Panie referencie, a cóż to za płyn?

Krympe uniósł nieco brwi nad okrągłymi oprawkami okularów i odparł:

- Najlepszy w świecie kwas chlebowy. Będziecie mogli go kupować na kwaterki.

- To może załapiemy się na jakiś łyczek, bo w gardłach zaschło od tego noszenia.

Facet z brylantyną na włosach spojrzał na Konia jak na jakieś zjawisko.

Mój pomagier chyba się zreflektował, że palnął coś głupiego i zapytał:

- Gdzie to położyć?

- W prawym rogu – Krympe kiwnął głową w kierunku zaplecza.

Wtaszczyliśmy trzeci gąsior. Zerknąłem w prawo. Część naszych narzędzi spoczywała na podłodze obok skrzynek narzędziowych. Chciałem je uprzątnąć, żeby nie wały się pod nogami. Malinowski w tym czasie obrócił się na pięcie i wyszedł, bo jeszcze kilka paczek zostało na pace samochodu. Klęczałem za kartonami, na których było wydrukowane logo „egipskich”. Wtem usłyszałem:

- Ile mi przywiozłeś bez rachunku?

- Dwa niepełne kartony, jeden jest otwarty. Razem masz dziewięćdziesiąt sztang – odpowiedział konwojent. - Jak dla ciebie, sto dwadzieścia złotych jeśli za całość płacisz z góry. Najlepiej teraz.

Struchlałem. Ci dwaj chyba nie mieli pojęcia, że jestem wewnątrz. Wstrzymałem oddech i zerknąłem w ich kierunku. Krympe sięgnął do kieszeni spodni i wyjął plik zwiniętych banknotów. Kiedy odliczał należność mój wzrok zatrzymał się na otwartym pudle. Referent wręczał forszę konwojentowi, a ja uchyliłem rozcięte wieko kartonu, który leżał tuż przede mną i zobaczyłem to o czym mówili. Wiedziałem, że sztanga to partia dziesięciu paczek fajek.

- Za taką cenę biorę każdą ilość. W ciemno możesz przywozić ile tylko będziesz miał – zaproponował Krympe.

- Nie ma problemu – mężczyzna uśmiechnął się szeroko, bez przeliczania schował pieniądze i wymienili uścisk dłoni.

Nie zastanawiałem się nad tym co czynię.

Bezszelestnie wyjąłem podwójne dno mojej skrzynki narzędziowej, a drugą ręką sięgnąłem po sztangę. Kiedy wkładałem skradziony łup do środka rozległy się kroki.

- To jak będzie z tą degustacją panie referencie? - zapytał Koniu.

- Daj chłopakom po szklance, trochę się nanosili – stwierdził konwojent.

Krympe ruszył w stronę stołówki.

Koniu wkroczył na zaplecze dźwigając kolejne pudło. Stanął nade mną i szepnął:

- Co robisz?!

Na sekundę zamarłem w bezruchu. W jednej dłoni podłużna sztanga, a w drugiej wieko od podwójnego dna.

- Pst! - syknąłem, a w myślach rozległ się krzyk - *Kurwa mać! Ale wpadłem!*

Włożyłem narzędzia do naszych skrzynek i kiedy Krympe pojawił się z kubkami, my z Koniem wychodziliśmy z zaplecza dzierżąc nasze stolarskie atrybuty.

- W taką pogodę odrobina kwasu to prawdziwy rarytas! - stwierdził konwojent i przechylił swój kubek.

- Co racja to racja – powiedział Koniu, pociągnął solidny łyk i zaraz potem przejechał czubkiem języka po ustach.

Trudno się było nie zgodzić z tymi słowami.

Cóż to był za wyborny smak!

- Niebo w gębie – zachwycił się Malinowski.

- A co tu się dzieje? - nagle od strony wejście rozległ się głos klawisza, który razem z kierowcą ciężarówki wkroczył do pomieszczenia.

- Wznosimy toast z okazji otwarcia najlepszego przybytku jaki można sobie było wymarzyć w tym pudle – skwitował mój współpracownik.

- Heniu, co to ma znaczyć? - zaskoczony strażnik skierował swoje słowa do referenta.

- Nadźwigali się chłopaki, to dostali w nagrodę po szklance chlebowego. Panowie, może macie ochotę na łyceczkę czegoś orzeźwiającego? - zapytał Kryppe i dodał z lekką dumą w głosie – dziś na koszt firmy.

Chyba nietrudno wam sobie wyobrazić, jakże dziwna była ta sytuacja. Dwóch cywili, dwóch pracowników więzienia i dwóch skazańców stało obok siebie jak równy z równym i rozkoszowało się, jak to wcześniej stwierdził nasz etatowy referent, smakiem najlepszego w świecie kwasu chlebowego.

Kiedy na powrót znaleźliśmy się w stolarni Koniu podszedł do mnie, klepnął mnie w ramię i powiedział:

- Niezły z ciebie numerant!

- Cokolwiek widziałeś, to zachowaj to dla siebie – nie miałem pojęcia jak wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji. Facet nakrył mnie na gorącym uczynku.

- Będę trzymał dziób zamknięty aż do grobowej deski – uniósł dłonie jakby się poddawał, a potem prawą ręką uderzył się w pierś na wysokości serca i rzekł – masz moje słowo.

Na nic mi twoje słowo – przemknęło mi przez myśl.

- A swoją drogą – ciągnął dalej – pomysłowa skrzynka – spojrzał w jej kierunku. - Też chciałbym coś takiego.

Niech to szlag! Niech to kurwa mać jasny szlag!

- To sobie zrób – odparłem, starając się zachować w głosie spokój i opanowanie.

Doprawdy trudno byłoby nie zapamiętać dnia, pierwszej więziennej wypłaty. O nie, takiego faktu nie sposób zapomnieć! To nic, że dopiero z początkiem lat pięćdziesiątych w polskich kalendarzach pojawił się oficjalny wpis, kiedy przypada Międzynarodowy Dzień Dziecka. My, czyli wszyscy skazańcy II Rzeczypospolitej, czy się to komuś podoba czy nie, byliśmy dziećmi naszej ojczyzny i to właśnie nam zostało dane doświadczyć w ten pamiętny czwartek 1 czerwca 1933 roku, uczucia dziecięcej radości. To było naprawdę niezwykle. I jak tu nie kochać Dnia Dziecka?

Oczywiście było rzeczą niewykonalną aby za jednym zamachem poprowadzić całą watahę więźniów do okienka kasowego. Jeżeli klawisze spędziliby wszystkich wronieckich skazańców i kazali im stanąć w ogonku, to koniec kolejki sięgałby

wejścia na spacerniak.

Jakiś mądrała opracował system, który miał być sprawny na tyle, żeby nie zburzyć normalnego cyklu pracy i zapobiec narodzinom chaosu. Zaczęło się od pracujących w szwalni, która była najbliższej. Pierwsza partia licząca dwudziestu więźniów i czterech strażników eskorty pomaszzerowała do kasy, w tym samym czasie kolejna eskorta zbierała po warsztatach następną dwudziestkę. Kiedy ci pierwsi dostali swoje uposażenie, którego część natychmiast zamienili w kantynie na towar, następna ekipa już podpisywała listę płac. I takim oto wahadłem grupy skazanych krążyły tego dnia po Centralnym Więzieniu we Wronkach.

Dozorca Drywulski, ten co miał szramę na twarzy, stał w rozkroku obok okratowanego okienka kasy i omiatał wzrokiem po naszych twarzach. To był dla nas szczególnie dzień, wszyscy byliśmy podekscytowani i trudno się temu dziwić. Pewnie wielu z was pamięta dzień swojej pierwszej wypłaty, prawda? Człowiekowi świtają w głowie radosne myśli, pieniądze w dłoni sprawiają, że świat wygląda zupełnie inaczej. Wiesz, że w takim momencie jesteś królem życia, że możesz zaspokoić swoje zachcianki i uraczyć się czymś pysznym. Cudowna była ta świadomość, że jak tylko dostaniesz swoją forszę, obrócisz się na pięcie i zejdziesz schodami piętro niżej, to możesz zamienić banknoty na jakieś marzenie. Śmieszne? Może i śmieszne, ale za to bardzo prawdziwe. Stałem w kolejce i czułem się jak dzieciak, który za chwilę dostanie nagrodę i będzie z nią mógł zrobić co tylko zechce. Tylko to się liczyło. To było najważniejsze w świecie.

Po drugiej stronie okratowanego okienka kasy siedział otyły jegomość.

- Numer? - zapytał.

- Dwadzieścia dziewięć jedenaście – odparłem.

Palcem wskazującym sunął wzdłuż kartki, na której widniały rzędy kolumn.

- Nazwisko?

- Żabikowski. Stanisław Żabikowski.

- Zgadza się – powiedział – jeśli umiesz pisać to złóż autograf w tym miejscu – odfajkował mały znaczek przy ostatniej rubryce – jeżeli jesteś niepiśmienny to postaw krzyżyk.

Podpisałem się.

- Sześćdziesiąt pięć złotych – usłyszałem, a chwilę później podał mi odliczoną gotówkę i kwitek potwierdzający wypłatę.

Dozorca Drywulski stał tuż obok. Kiedy odchodziłem od okienka, powiedział do mnie tylko jedno słowo:

- Grubo – i posłał mi grymas, w którym czaiło się więcej kpiny niż uśmiechu.

W pomieszczeniu kantyny panował gwar. Ci, którzy już dokonali zakupu stali przy ścianie po lewej i większość z nich przeżuwała coś w ustach, wydając pomruki pełne zachwyty. Paczkowane towary zalegały na wszystkich półkach. Były tam różnorakie ciastka, biszkopty, suchary zwykłe, z kminkiem, z makiem, z czosnkiem, były też tabliczki czekolady słodkiej i gorzkiej, tabaka i papierosy. Na dwóch hakach wisiły solidne kawałki suszonego mięsa z wołu. Na ladzie spoczywała waga, a obok niej szklane słoje. Rodzynki, suszona żurawina, pomarszczone śliwki węgierki,

morele i krążki jabłek. Tuż obok kartony, a w nich orzechy, pestki dyni i słonecznika. Był też jeden słoik pełen kolorowych cukierków, a w kącie obok gąsiorów z kwasem chlebowym stała drewniana beka kiszonych ogórków. Brakowało tylko pieczywa, galaretki z nóżek i wódki.

Sprzedawca każdemu z osobna oznajmiał:

- Możesz kupić tylko pięć paczek papierosów i łącznie wydać nie więcej, niż piętnaście złotych!

- Dlaczego tylko piętnaście? - zapytał ktoś z pretensjami. - Po cholere mi reszta tych pieniędzy?!

Dozorca, który pilnował porządku w kantynie zaspokoił naszą ciekawość:

- Bo takie są przepisy, piętnaście i ani grosza więcej. Kantyna będzie otwarta w każdą niedzielę, a wy dzięki ograniczonym wydatkom nauczycie się gospodarować swoim majątkiem.

- Pierdolenie – szepnął ktoś za moimi plecami. - Pięćdziesiąt złotych to przepijałem w jeden wieczór, a oni chcą mnie tutaj uczyć oszczędności.

Kiedy nadeszła moja kolej zapytałem sprzedawcę:

- Macie suszoną wanilię?

Najpierw spojrział na mnie jak na jakieś zjawisko, a zaraz potem posłał mi pytanie, jakby się chciał przekonać czy dobrze usłyszał:

- Suszoną wanilię?!

- Tak, suszoną wanilię, takie ciemne, brązowe pałeczki – wyjaśniłem.

- Wiem jak wygląda wanilia – rzucił do mnie. - A co, będziesz piekł ciasto? - zakpił.

Naszą rozmowę słyszeli wszyscy obecni w kantynie, a odpowiedź faceta za ladą wzbudziła ogólne rozbawienie.

- Nie, nie mamy wanilii i raczej nie będziemy mieć. Co podać?

Na swoje pierwsze zakupy wydałem trzynaście złotych. Chociaż nie narzekałem na brak fajek, to nabyłem pięć paczek egipskich, suchary z kminkiem i tabliczkę słodkiej czekolady.

Szkoda, że nie mieli tego co chciałem. Już jako dziecko uwielbiałem wanilię i czułem pokusę do tego suchego, aromatycznego strączka. Ileż to razy zakradałem się do kuchni, żeby capnąć brązowego palucha, odgryźć kawałeczek, a potem przegryzać i trzymać w ustach tak długo, aż go rozetrę na miazgę. Nie raz oberwałem za to po uszach, ale i tak nie potrafiłem się oprzeć. Umm, cóż to za wspaniały rarytas! Ten słodki smak na języku, ten zapach rozrywający nozdrza! Sama rozkosz! Nawet dziś wystarczy, że pomyślę o wanilii, a już mam na nią ochotę.

Spojrzałem w okno. Po drugiej stronie krat zakradał się pierwszy, czerwcowy mrok. Pomiedzy stalowymi prętami błyszcząły jasne punkciki gwiazd. Usiadłem na pryczy i przez kilka chwil obracałem w dłoniach oryginalnie zapakowaną paczkę sucharów. Opuszki moich palców ślizgały się po gładkim, żółtym papierze. Czekałem na to pół dnia. Pół cholernego dnia opierałem się pokusie, żeby dotrzeć właśnie do tej chwili co teraz. Celebrowałem ten moment, zupełnie jakby był to jeden z najważniejszych epizodów w moim marnym życiu.

Rozdarłem papier.

Delikatny zapach kminku załaskotał w nozdrza.

Pierwszy kęs.

Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że zaschnięta mikstura mąki, wody i soli, może tak rozkosznie smakować! Wsparłem się plecami o ścianę i powoli miałem zębami to, co miałem w ustach. Koniu według umowy odpalił mi dzisiaj dwadzieścia procent ze swojego uposażenia. Miałem sześćdziesiąt dwa złote i zastanawiałem się co począć z tą forszą? Nosić ją zawsze przy sobie czy zostawić w celi? A jeśli ją zostawię, to czy któregoś dnia ona po prostu nie zniknie?

Na naszym bloku miało miejsce kilka afer i nie chodziło wtedy o szmal, tylko o jakieś drobne rzeczy, które dostały nóg i zniknęły z czyjejs celi. Nie wiem czy to było tylko zrządzenie losu, ale dziwnym trafem działa się to zawsze, kiedy funkcyjnym na latrynie był Edek Urkowicz. Obowiązywała też pewna zasada, która mówiła, że jeśli kalifaktor zostanie przyłapany na kradzieży albo buszowaniu w czyjejs celi to od razu ma dobę w karcerze. Najczęściej ginęły fajki, ale nie całe skrzynki, tylko pojedyncze sztuki. Sam niejednokrotnie wróciwszy po dniu pracy stwierdzałem, że jedna z paczek jest otwarta i brakuje dwóch papierosów. No i do kogo wtedy kierować pretensje? Do funkcyjnego? Do któregoś z dyżurnych klawiszy? Awanturować się z tego powodu? Z kim? Zgłosić zażalenie? Komu? Stworzyć sobie problem z powodu dwóch szlugów? Jednak co innego papierosy, a co innego forsa... tym bardziej, że ona nie spada z nieba. W pudle szmal najlepiej nosić przy tyłku i nie rozstawać się z nimi nawet podczas snu. Poza tym miałem jeszcze swój depozyt w podsufitowej belce i tylko Bóg jeden raczył wiedzieć, kiedy nadarzy się okazja, żebym mógł go stamtąd zabrać. Nagle moje myśli zaczęły krążyć wokół pieniędzy, a ja czułem się tak, jakbym został zarażony jakimś okropnym bakcylem. Cóż takiego ma w sobie forsa, że jeśli trzymasz ją w garści, to zaczynasz o niej myśleć?

Włożyłem do ust ostatni kawałek suchara.

- Pora na deser – szepnąłem sam do siebie i sięgnąłem po tabliczkę czekolady. Delikatnie rozdarłem opakowanie i zerknąłem na siedem brązowych rzędów. W każdym były cztery kostki. - Jeden rząd dziennie – postanowiłem.

W ustach poczułem wszechogarniającą słodycz. *O Boże miłosierny!* Niby zwykła rzecz, a tyle rozkoszy na podniebieniu. Nie mogłem sobie przypomnieć kiedy po raz ostatni czułem ten smak!

Przełknąłem rozpuszczoną w ustach masę, a potem przez chwilę głaskałem czubkiem języka szkliwo moich zębów.

Paczka sucharów i deseczka czekolady spoczywały na blacie stołu. Smutnym wzrokiem wpatrywałem się w ich ciemne kanty. Takie nic. Takie zwykłe nic, które można po prostu kupić w każdym sklepie, tu i teraz wydawało się boskim darem. Szczytem luksusu. Myślę, że sporo ludzi nie docenia tego co zesłał im los. Toczą swoje życie, borykają się z codziennymi problemami, większość z nich narzeka i ubolewa i nawet nie zastanowi się nad tym, ile radości daje swoboda i wolność. Tylko ktoś taki jak ja, ktoś kto stracił to, co najważniejsze i najcenniejsze doskonale rozumie, że w życiu każdego człowieka jest kilka takich rzeczy, które są święte. A każdą świętość należy darzyć czcią i szacunkiem.

Pół nocy siedziałem wpatrując się w ciemność, a zegar na wieży odliczał inny czas. Pełzające minuty smutku, kwadransy pokory i godziny żalu. Czułem jak cały

świat zapada się w pustkę i ciągnie mnie za sobą.

Wiosna zawsze budziła w mojej duszy najpiękniejsze skojarzenia, ale tego roku przemknęła tak szybko, jakby jej wcale nie było. Nie czułem tej specyficznej radości, nie zachwycali mnie podmuchy wiatru i zielone liście drzew, które spoglądały na spaceriak z drugiej strony więziennego muru. Gdzieś przepadły te wszystkie wiosenne czary, a z początkiem lata powiało chłodem. Czerwcowe niebo miało w sobie więcej szarości niż błękitu. Każdego dnia czułem się tak, jakby coś we mnie gasło, a uśmiech coraz rzadziej pojawiał się na mojej twarzy. Dopadło mnie jakieś niewytłumaczalne rozkojarzenie, bo nawet podczas posiłków do moich uszu nie docierały słowa ludzi, z którymi siedziałem przy stole. Z dnia na dzień osaczała mnie coraz większa samotność, a ja z pełną premedytacją odcinałem się od świata, na który byłem skazany. Miałem świadomość, że dzieje się ze mną coś dziwnego, bo chwilami nie kontaktowałem tak bardzo, że zadawałem sobie pytanie – jaki dziś mamy dzień tygodnia? Moje ciało i dusza dryfowały w tym samym jednostajnym, monotonnym rytmie. Praca w warsztacie była jedyną odskocznią od wszechobecnej beznadziejności. Większość czasu obcowałem z Koniem. Muszę przyznać, że był z niego niezły gaduła, bo czasami klepał dziobem przez całą dniówkę. Szanowałem to, że robił spore postępy w stolarskim fachu. Tak sobie myślę, że jego zaangażowanie w pracę dawało mi jakąś namiastkę zadowolenia. Czy byliśmy kumplami? Chyba tak. Jedna sprawa budziła w nim niezdrową ciekawość – cóż takiego uczyniłem w przeszłości, że zostałem skazany na dożywocie? Zawsze kiedy o to pytał rzucałem jakiś durny żart, albo kierowałem naszą rozmowę na inne tory. Pewnego dnia poczułem się już zmęczony tym nagabywaniem i rzekłem:

- Nie chcę o tym rozmawiać. Nigdy. Rozumiesz? Czy to coś zmieni jeśli ci powiem? Ja z tego tytułu nie poczuję żadnej ulgi. Chcesz wiedzieć za co człowiek może dostać najsroższy wyrok? Więc powiem ci to, co usłyszałem całe lata temu od kogoś, kto sporo mnie nauczył i dużo zmienił w moim życiu na lepsze. Zapamiętaj sobie jedno – skierowałem w jego kierunku wskazujący palec prawej dłoni - za każdym wyrokiem dożywocia, czai się czyjaś śmierć.

Od tamtej pory Koniu przestał dociekać.

Kiedy człowiek musi swoje życie podporządkować przepisom i regulaminom, przywyka do nich tak bardzo, że po pewnym czasie nie wyobraża sobie innej egzystencji. Jego przetrwanie zależy od bezwarunkowej i bezdyskusyjnej akceptacji własnego losu. Rygor, dyscyplina i posłuszeństwo to fundamenty, na których stoi świat otoczony wysokim murem i skrzepowany zasiekami kolczastego drutu. Tu jesteś nikim, jesteś tylko cieniem w szarym mundurku z numerem nad lewą piersią. Nie masz żadnego wyboru. Kiedy ogłoszono wszem i wobec, że kantyna będzie otwarta jedynie w niedziele i tylko wtedy będzie można dokonywać zakupów, przyjąłem to za oczywistość. Nagle okazało się, że niedziele nadają sens mojemu istnieniu, bo tylko tego dnia żyjąca we mnie kukła mogła się poczuć jak... człowiek.

Powszednie dni zamieniły się w oczekiwanie, by o poranku w siódmy dzień tygodnia wyjść na spaceriak, a potem dotrzeć do momentu, kiedy któryś ze strażników ogłosi zbiórkę dla osadzonych na bloku B którzy chcą wydać swoją kasę.

Byłem w drugiej dwudziestce chętnych. Zwartą kolumną ruszyliśmy w kierunku kantyny. Wtem za moimi plecami usłyszałem głos Skarbowego:

- Niezły biznes z tym sklepikiem – stwierdził. - Pomijając tych, którym nie zostało dane zarabiać i tych, którzy czekają na odwiedzinę to myślę, że minimum czterystu chłopów dokona dzisiaj skromnych zakupów. Każdy zapłaci tylko piętnaście złotych, co razem daje wpływ okrągłych sześciu tysięcy. Skromnie licząc marża na towary to jakieś dwadzieścia pięć procent, więc na czysto właściciel kantyny zarabia tysiąc pięćset złotych w jeden dzień. Piękny wynik! Cztery niedziele w miesiącu i wyjdzie sześć tysięcy na rękę, a człowiek z przyzwoitą wypłatą w ciągu roku zarobi raptem trzy i pół – zaśmiał się i dodał z uznaniem - jestem pełen podziwu dla tego przedsiębiorcy!

- Ciekawe ile sprzedaje na lewo? - zapytał ktoś inny.

- Możesz być pewien, że sporo – Kamiński wypowiedział swoje słowa z całkowitym przekonaniem. - Takiego interesu jak ten, nie sposób skontrolować.

I tak oto za sprawą kilku słów naszego finansowego guru w głowach niektórych skazańców narodziła się plotka, która nie rozpałała wyobraźni, lecz wywołała prawdziwą pożogę.

Jakiś czas później okazało się, że wpływy z handlu w kantynie zasilają kasę więzienia, ale pieczę nad wszystkim trzymał starszy referent Henryk Krympe. On też zaproponował naczelnikowi, żeby w roli subiekta zatrudnić zawodowego sklepikarza i polecił na to stanowisko... swojego szwagra. Facet dostał tę robotę. Cóż więcej można rzec w tym temacie? Ja nikogo nie oskarżam ani nie posądzam o nieuczciwość, ale jedno jest pewne - przez kantynę płynęła rwąca rzeka szmalu, a ten interes w pełni kontrolowało dwóch gości. Nawet mała by się skusiła, żeby przy okazji uskubać na boku małą fortunę.

Nikt mi nie musiał niczego udowadniać ani przekonywać, ja zawsze wiedziałem, że ten goguś z brylantyną na włosach to niezły miglanc. Przecież ten biznes jeszcze nie hulał, a Krympe już zaopatrzył półki w solidną partię lewych fajek. Zawsze zastanawiałem się czy elegancki pan referent zorientował się, że przy jego pierwszej, czarnej transakcji przepadła bez wieści sztanga egipskich? Nawet jeśli to stwierdził, to jego strata i tak była znikoma. Mogę was zapewnić z ręką na sercu, że nie miałem z tego tytułu nawet najmniejszych wyrzutów sumienia.

Legalny handel w kantynie okazał się siekierą w plecy dla więziennej kontrabandy. Wraz z jej otwarciem skończyły się czasy tytoniowych baronów, bo tak właśnie nazywano koleśki, którzy parali się szmuglem papierosów. Fajki od zawsze stanowiły w pudle najcenniejszy towar, najbardziej chodliwy. Nagle szast prast, wszystko się zesrało, a kombinatorzy i cwaniacy zostali w świetle prawa wysiudani z interesu przez władze więzienia. Jednak świat używek nie kończył się na szlugach, po drugiej stronie murów był alkohol, herbata i apteki z magicznymi lekarstwami. Oczywiście zapotrzebowanie na takie towary nie było na jakimś oszałamiającym pułapie, lecz z tego co słyszałem, to chętnych nie brakowało. Faktem jest, że ten asortyment osiągał zawrotne ceny, ale i ryzyko było cholernie wysokie. Coś za coś. Szlak wiodący przez pralnię, który był pomostem pomiędzy światem zewnętrznym a

więzieniem rozkwitł ponownie za sprawą niewinnego przypadku, kiedy okazało się, że jeden ze świńskich narządów ma genialne właściwości. Jednak o tym opowiem wam później, bo stało się to dzięki Ślązakowi, który trafił do Wronek kiedy kantyna obchodziła drugą rocznicę swojej chwalebnej działalności.

Z tygodnia na tydzień moje życie stawało się coraz bardziej wyzute ze wszelkich namiętności i emocji. Obojętność, ta która tkwiła we mnie sprawiała, że przestało mi zależeć na czymkolwiek. I nawet radość z niedzielnych zakupów zrobiła się nagle taka pospolita i zwyczajna.

Beznadzieja.

Pustka.

Bierność.

Świat, który mnie otaczał, ten sam świat, który dla innych był polem bitwy gdzie toczono nieustającą walkę o przetrwanie, miał dla mnie zupełnie inne oblicze. W moich oczach przepelniała go gorzka nijakość i nawet smak mlecznej czekolady nie był w stanie osłodzić moich doznań.

Nastała pełnia lata, ale wiecznie zachmurzone niebo budziło skojarzenia z zupełnie inną porą roku.

Ja też zapadałem się w szarość.

- Będziesz to jadł? - zapytał Irek Kaczmarek i kiwnął głową na moją miskę. Siedział naprzeciw i widział jak dłubię łyżką, starając się odnaleźć tłuste skwarki pomiędzy kulkami gryczanej kaszy.

- Nie cierpię kaszy – odparłem. - Chcesz?

- Jasne, że chcę!

- To dawaj skrzynkę i bierz – za michę stawy zażądałem standardowej zapłaty.

Sięgnął do kieszeni i wyjął otwartą paczkę fajek.

- Nie mam więcej, bo rzucam to świństwo. Zostało ponad pół paki – spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

Nie zawahałem się ani sekundy.

- Dawaj! - pchnąłem w jego kierunku miskę.

Sączyłem letnią kawę i przyglądałem się człowiekowi po drugiej stronie stołu jak zjada dodatkową porcję wieczornego posiłku.

- Coś marnie wyglądasz – stwierdził po chwili.

Wzruszyłem ramionami, bo nie bardzo wiedziałem co mu odpowiedzieć.

- Znam ten wyraz oczu – znowu się odezwał. - Złamało cię. To się zdarza, ale nic się nie martw, będzie dobrze.

Dobrze? Dobrze?! Niby kurwa mać co będzie dobrze?! - krzyknąłem w myślach. Co ty możesz o tym wiedzieć cholerny łapiduchu?

- Coś o tym wiem – powiedział, a ja poczułem się zaskoczony. Czy to możliwe, żeby ten facet jakimś cudem usłyszał moje pełne pretensji myśli? - Grunt to się nie poddawać – ciągnął dalej – myśl o tym, że jutro świat cię pokocha. Pewnie cierpisz na chorobę duszy, a na nią nie ma lekarstwa.